

KAPITALIZM. HISTORIA KRÓTKIEGO TRWANIA – DZIEWIĘTNAŚCIE *LONG READS* O „TYSIĄCU LAT NIEWOLNICTWA”

JAN SOWA

Abstrakt: Niniejszy tekst stanowi krytyczny esej poświęcony książce Kacpra Poblockiego *Kapitalizm. Historia krótkiego trwania*. Zawiera on szereg luźno powiązanych uwag dotyczących kwestii założeń metodologicznych, wartości eksploatacyjnej, aktualności i nowatorskości, a także społecznego funkcjonowania książki Poblockiego. Spośród poruszanych tu problemów trzy mają dominujący charakter: metodologiczny problem wyjaśnienia początków kapitalizmu oraz społecznego znaczenia systemu (debata między marksizmem a teorią zależności); omówienie historycznych przykładów niekapitalistycznych systemów społecznych; problem teleologii historii w wyjaśnieniach historycznych oraz jego ukryta obecność w terminologii sugerującej liniowy rozwój historii ludzkości.

Słowa kluczowe: historia kapitalizmu, Poblocki, Marks, Polanyi, teoria zależności, teoria historii, krytyczna geografia

Przyznam szczerze, że przystępowałem do lektury książki Kacpra Poblockiego uprzedzony. Przeczytałem wcześniej jej rekomendację na stronie Fundacji Bęc Zmiana (ten sam tekst znajduje się na 3 stronie okładki). Wynika z niej, że mamy oto do czynienia z dziełem, które w sprawny sposób opowiada o różnych ciekawych wydarzeniach i zjawiskach z przeróżnych części świata – od Kurpi po Kalahari – i że, broń Boże, nikt w nim nic krytycznego nie mówi o kapitalizmie. Poczulem się, jakbym cofnął się w czasie do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to na studiach w ten dokładnie sposób liczni moi nauczyciele – od Krystyny Wilkoszewskiej po Michała Markowskiego – zachwalali postmodernizm. Wtedy, wobec wszechobecnego przekonania o końcu historii i niechęci do czegokolwiek, co kojarzyło się z Marksem, było to może nawet zrozumiałe. Dzisiaj widać, że odrzucenie teorii krytycznej i marksizmu było w dużej mierze odpowiedzialne za jałowość polskiej humanistyki i nauk społecznych tamtego okresu, które zauroczone błyskotkami globalnej konsumpcji, onanizując się „rozplenionymi kontekstami” i „skontaminowanymi kodami”, pozostały właściwie kompletnie ślepe na ówczesny los polskiego społeczeństwa.

Dlatego podobna opinia jest w moim odbiorze raczej pocałunkiem śmierci niż zachętą do lektury. Aby oddać sprawiedliwość Waldemarowi Kuligowskiemu, który ów *blurb* popełnił, trzeba dodać, że Kacper Poblocki parę razy sam wygłasza podobną opinię na temat własnej książki, podkreślając, że „nie została [ona] napisana w duchu krytycznym”, który utożsamia z „moralną krucjatą przeciw kapitalizmowi” (Poblocki 2017, 548). Jest to dla mnie postawa niezrozumiała. I to nie tylko dlatego, że zrównanie postawy krytycznej z „moralną krucjatą” brzmi, jakby pochodziło z felietonu Witolda Gadowskiego bądź Wojciecha Maziarskiego i że spora część aparatury pojęciowo-teoretycznej używanej przez Poblockiego wywodzi się właśnie z badania kapitalizmu „w duchu krytycznym” (wystarczy wspomnieć takie postaci jak David Harvey, David Graeber, Karl Polanyi czy Andre Gunder Frank, do których obszernie odwołuje się on na stronach swojej książki). Bardziej niezrozumiałe pozostaje dla mnie coś innego: książka Kacpra Poblockiego ewidentnie jest napisana w duchu krytycznym! Kapitalizm zostaje w niej ściśle powiązany z niewolnictwem i wykorzenieniem jednostki z jej społecznych relacji, a wśród efektów jego działania znajdziemy m.in. niszczenie miast poprzez przekształcanie ich tkanki zgodnie z interesami bogatych elit (historia „zabicia” Nowego Jorku, jak za Robertem Fitchem Poblocki określa celową eliminację tkanki przemysłowej z Manhattanu), wysiedlenia, utowarowienie natury zgubne dla środowiska naturalnego, generowanie ostrych podziałów klasowych i odpowiadających im dualnych miast, koncentrację bogactwa na szczycie drabiny społecznej oraz współczesny feudalizm, czyli usztywnienie struktury społecznej poprzez zatrzymanie mobilności międzypokoleniowej. Co więcej, książkę kończy rozdział poświęcony roli wyobraźni ekonomicznej w wypracowaniu alternatyw dla kapitalizmu, a cały tekst zamyka słowo „zmiana”. Trudno byłoby znaleźć lepszy przykład tego, co w swoim znanym tekście z 1937 roku Max Horkheimer nazwał teorią krytyczną i odróżnił

od teorii tradycyjnej, skoncentrowanej na wolnym od wartościowania i postulatowości neutralnym opisie świata (Horkheimer 1983). Nie mam pojęcia, co kierowało Kacprem Poblockim, gdy wbrew wymowie całej swojej książki odzęgnywał się od krytyczności, ani czy jest to dla niego dobra wiadomość czy zła, ale to, co napisał, jest przesycone „duchem krytycznym” od pierwszego do ostatniego rozdziału. Swoje uprzedzenie odrzuciłem już po kilkudziesięciu stronach i uważam książkę Poblockiego za znakomitą lekturę.

Nie sposób w jednym artykule odnieść się do bogatego i różnorodnego materiału zawartego w książce potężnej, bo liczącej 550 stron żywego tekstu i kilkadziesiąt stron tabeli oraz grafów. Niektórym tak rozbita kompozycja tematyczna może się nie podobać. Osobiście nie mam z nią najmniejszego problemu i uważam ją za walor książki. Nie tylko dlatego, że – mówiąc nieco żartobliwie – zawsze obawiałem się, iż moje własne książki są za grube i za bardzo „o wszystkim”, a po lekturze *opus magnum* Poblockiego odetchnąłem z ulgą... Okazuje się, że jestem jednak autorem skromnym i wyjątkowo precyzyjnie zakreślającym pole swoich zainteresowań. Ważniejsze wydaje mi się wyzwanie, jakie Poblocki rzuca schematom i praktykom obowiązującym we współczesnym pisarstwie akademickim. Cierpi ono na koszmarny uwiad, a kombinacja parametrycznego cytacjonizmu, poststrukturalistycznego hermetyzmu oraz kastrowania polityczności poprzez ideologię obiektywizmu sprawiły, że większość artykułów oraz książek akademickich to istne raporty urzędników wiedzy, przyczynkarskie suchary; ich wartość ogranicza się do zapewnienia autorce odpowiedniej liczby punktów w ankietach ewaluacyjnych. Być może publikacja w języku polskim dwóch znakomych książek Gilles’a Deleuze’a i Feliksa Guattariego – pokazujących, jak myślenie może wyrażać się w języku – stworzy jakieś linie ujścia z tej koszmarnie suchej płaszczyzny, na jakiej ugrzęźliśmy. Książka Poblockiego, w której dostrzegam odległe echa projektu autorów *Anty-Edypa* i *Tysiąca plateau*, jest jakimś światelkiem w tunelu. Jej lektura, niezależnie od mojej niezgody ze sporą częścią zawartych w niej tez, sama w sobie była dla mnie przyjemnością. Książka złożona z dziewiętnastu nieco osobnych, a nieco ze sobą powiązanych „medytacji” w odbiorze przypominała mi jeden z moich ulubionych codziennych rytuałów: poranną lekturę *Guardiana*, w tym szczególnie jego *Long Reads*. Piszę to bez cienia ironii czy sarkazmu. Są one moim zdaniem lepszym źródłem wiedzy o świecie niż spora część – jeśli nie większość – konferencji naukowych, w których zdarzyło mi się uczestniczyć. Jest to zresztą element szerszego zjawiska, które polega na wyciekaniu wiedzy i praktyk jej tworzenia poza świat akademicki. Nie ma tu miejsca, aby więcej napisać na ten temat, a poza tym zajmowałem się nim już gdzie indziej (Sowa 2016).

Jeśli więc miałbym wskazać największą słabość książki Kacpra Poblockiego, nie szukałbym jej wcale w jej rozproszonej i kłaczowatej formie, ale w skłonności autora do przedstawiania własnej refleksji jako zasadniczego zwrotu – reorientacji, używając kategorii kluczowej dla Poblockiego – w rozumieniu kapitalizmu. Połączone jest to z przemilczaniem

lub błędnym intepretowaniem dyskusji oraz prac zawierających wszystkie właściwie elementy układanki, którą bawi się autor.

Problem ów widać już w pierwszym zdaniu: „Główna teza tej książki jest prosta: narzędzia, jakich obecnie używamy, aby zrozumieć, jak zorganizowany jest świat, bardziej nam w tym przeszkadzają, niż pomagają” (Poblocki 2017, 11). Kim jest zbiorowy podmiot tej wypowiedzi, owo „my”, które nie potrafi poradzić sobie poznawczo ze współczesnym światem? Czy chodzi o antropologów, do których Poblocki się zalicza? Czy o pracowników akademickich? Czy o Polaków i Polki? Czy może o humanistów i humanistki? Czy może, szerzej, o zainteresowanych światem społecznym badaczy i badaczki z obszaru nauk humanistycznych i społecznych? Czy też o ludzi, którym nie podoba się współczesny świat i którzy chcą go zmienić? Czy może o całą ludzkość? Nie wiadomo. Gdyby pod owo „my” podstawić niektóre z powyższych grup, chętnie zgodziłbym się z Poblockim. Szczególnie podpisałbym się pod twierdzeniem, że pojęcia dominujące w głównym nurcie debaty publicznej kształtowanej przez liberalnych intelektualistów i prywatne media – w Polsce byłyby to na przykład „wolność”, „społeczeństwo obywatelskie”, „cywilizowany kraj”, „Zachód”, „normalność” itp. – więcej ukrywają, niż ujawniają. Wydaje mi się jednak, że nie o to chodzi, bo gdyby tak było, to w zdaniu otwierającym książkę pojawiłoby się sformułowanie: „narzędzia, jakich używamy w głównym/dominującym/liberalnym nurcie debaty publicznej/akademickiej/naukowej”, lub inne podobne. Ambicje autora są raczej większe i nastawione na bardziej fundamentalny przewrót. Doceniając wartość wielu analiz i tez przedstawionych przez Kacpra Poblockiego, poniżej postaram się pokazać, że w zasadzie wszystkie elementy jego konstrukcji były już nie raz wykładane na stół, na którym toczy się intelektualna rozgrywka zwana tworzeniem wiedzy o świecie. Jednocześnie spróbuję przedstawić najważniejsze w mojej ocenie elementy schematu konceptualnego zastosowanego w książce Poblockiego (będą to wytłuszczone tezy rozpoczynające kolejne akapity). A więc:

Praca najemna, przeciwstawiana zazwyczaj tak przez marksistów, jak przez liberałów pracy niewolniczej czy pańszczyźnianej, nie jest istotą kapitalizmu rozumianego jako system społeczny. To oczywiście prawda, że dla Marksa oparcie produkcji na „wolnej” pracy najemnej należy do istoty kapitalizmu. Nie z powodów społecznych, ale ekonomicznych. Argumentacja Marksa jest dość skomplikowana i nie będę jej tu rekonstruował w szczegółach; opiera się na odróżnieniu pracy abstrakcyjnej od pracy konkretnej. Ta pierwsza kategoria – związana z pełną zastępowalnością pracowników, możliwą za sprawą utowarowienia siły roboczej – jest konieczna do tego, aby dało się określić ilość pracy społecznie niezbędnej do wytworzenia danego towaru, a to z kolei ma fundamentalne znaczenie dla działania kapitalistycznego rynku, bo na podstawie społecznie niezbędного czasu pracy ustalana jest zdaniem Marksa struktura cen. W *Kapitale* znajdziemy trochę rozważań na temat różnic

i podobieństw między pracą najemną a pańszczyzną czy niewolnictwem i implikacji, jakie ma to tak dla analizy ekonomicznej, jak i społecznej – ale mniejsza o to. Zaproponowana przez Poblockiego definicja kapitalizmu jako systemu gospodarczego (o tym za chwilę), a nie społecznego również zawiera komponent pracy najemnej, nie ma tu więc większych kontrowersji.

Nie jest jednak prawdą, że propozycja Połockiego, aby zrezygnować z tak silnego akcentowania pracy najemnej, to zasadnicze *novum* pozwalające nam wreszcie zrozumieć, o co chodzi. Wskazałbym na cztery istotne prefiguracje. Po pierwsze – Graeber, który nie tylko w przywoływanej często w *Kapitalizmie. Historii krótkiego trwania* książce o długu, ale nawet we wcześniejszych *Fragments of an Anarchist Anthropology* twierdzi, że pierwsze znane nam „umowy o pracę” dotyczyły wynajęcia niewolników w starożytnym Rzymie (Graeber 2004, 71). Podobne do dzisiejszych kontraktów, określały one, co niewolnik będzie robił, w jakich godzinach, jak częste i jak długie powinien mieć przerwy, co powinien dostać do jedzenia i picia, jakie wynagrodzenie otrzyma jego właściciel itp. Jedyna różnica między starożytnością a współczesnością jest taka, że dzisiaj sami jesteśmy swoimi właścicielami, więc możemy wynajmować siebie innym jako niewolników. A nawet więcej: musimy, bo inaczej nie będziemy mieli z czego żyć. Praca najemna ma więc w sobie również element bezwzględnego przymusu i wcale nie jest zaprzeczeniem niewolnictwa, ale jego rodzajem. Poblocki wspomina o tym źródle swojej własnej koncepcji, z czego wnoszę, że owo „my” otwierające książkę nie uwzględnia Davida Graebera i tych, które uważają go za cenne źródło lepszego rozumienia, „jak zorganizowany jest świat”.

Graeber nie jest jednak głosem zupełnie odosobnionym, a jego anarchistyczne sympatie każą mniemać, że raczej nie on sam wymyślił ową negatywną koncepcję pracy najemnej. Rzeczywiście nie jest on w tej kwestii prekursorem. Po drugie mamy bowiem na przykład Guy Deborda, pisarza równie ważnego dla teorii krytycznej, jak i dla anarchizmu (w sposobie myślenia był on przede wszystkim heglistą, jednak w praktyce holdował bez wątpienia anarchizmowi). W długim fragmencie otwierającym film *In girum imus nocte et consumimur igni* Debord przedstawia członków współczesnych zachodnich społeczeństw jako paradoksalną klasę ludzi, którzy chociaż uważają się za społeczną elitę, nie tylko muszą obsługiwać samych siebie – a elity wcześniejszych epok zawsze miały służbę – ale dodatkowo są również zmuszeni pracować dla innych. Zdaniem autora *Spoleczeństwa spektaklu* nie są wcale w sytuacji lepszej czy zasadniczo innej od chłopów pańszczyźnianych. Znowu mamy więc pracę niewolną w samym sercu kapitalizmu.

Po trzecie – feminizm marksistowski. Towarzyszka bardziej biegła ode mnie w tej tradycji myślowej bez wątpienia mogłaby napisać feministyczną krytykę książki Poblockiego, wskaże tu jednak na jeden istotny detal: w obrębie tej części teorii krytycznej, zwłaszcza wśród feministek związanych z postoperaizmem (wystarczy wspomnieć Silvię Federici czy Mariarose

Dalla Costę), odbyła się w ostatnich dekadach bardzo interesująca i ważna dyskusja na temat rozróżnienia na pracę produktywną (mężczyzn w fabryce) i pracę jakoby nieproduktywną (kobiet w domu). Przeciwniczki rozróżnienia na te dwa typy pracy wykazały, że jest ono pozbawione podstaw, a praca reprodukcyjna (np. opiekuńcza w rodzinie), chociaż nie ma charakteru najemnego, jest związana z produkcją wartości w ekonomicznym sensie tego słowa. Nie tylko podważone zostaje tu założenie o pracy najemnej jako wyłącznej podstawie kapitalistycznej akumulacji, o co chodzi też Poblockiemu, ale dzieje się nawet więcej: patriariat można uznać za rodzaj niewolnictwa kobiet, znów więc mamy wyeksponowany związek między kapitalizmem a pracą niewolną. Nie wiem, czy Poblocki świadomie zignorował ów ważny wkład feministek marksistowskich w zrozumienie świata, widać jednak, że podobnie jak Graeber i Debord nie należą one do owego „my”, które nie wie, o co chodzi. Pokazuje to też, że marksizm ma dzisiaj jednak ważny wkład w opisywanie i wyjaśnianie rzeczywistości społecznej, a jego ostentacyjne pomijanie wcale nie zbliża nas do ostatecznej mądrości, ale raczej od niej oddala.

Po czwarte wreszcie – utowarowienie pracy jako istotowa właściwość kapitalizmu zostało silnie zakwestionowane w ujęciu zaproponowanym przez Immanuela Wallersteina. Kwestia ta była jednym z głównych punktów krytyki przeprowadzonej przez Roberta Brennera w tekście *The Origins of Capitalist Development: A Critique of Neo-Smithian Marxism* (Brenner 1977), który zresztą Poblocki przywołuje, chociaż nie eksponuje tego momentu tak silnie, jak powinien, biorąc pod uwagę kontekst jego własnych propozycji. Poblocki ze swoją definicją kapitalizmu idzie w inną stronę niż Wallerstein, nie koncentrując się na wymianie rynkowej, i bynajmniej nie chce powiedzieć, że nie ma w niej nic poza powtórzeniem idei innych badaczy i badaczek. Jednak ogólna intencja przesunięcia akcentu z pracy najemnej na inne czynniki została skonstruowana na wiele dekad przed tym, jak Poblocki zabrał się za pisanie swojej książki. Jeśli zaś chodzi o niewolnictwo, to nie ma szczególnego problemu z tym, aby zachować intencje oraz zasadniczą treść Wallersteinowskiej analizy kapitalistycznej gospodarki-świata, przypisując w niej niewolnej sile roboczej, jak chce Poblocki, rolę i miejsce ważniejsze, niż wydawało się Marksowi.

W wąskim, ekonomicznym sensie kapitalizm to system, który narodził się dopiero w dziewiętnastym wieku i cechuje go utowarowienie pracy, pieniądza i ziemi (w tym szczególnie ziemi) połączone z ideą nieograniczonego wzrostu. Tu właściwie mamy dokładne powtórzenie koncepcji Polanyi’ego z *Wielkiej transformacji*, czego zresztą Poblocki nie kryje. Także w wielu innych momentach obszernie czerpie z Polanyi’ego, a szczególne znaczenie ma dla niego dokonujące się w kapitalizmie wykorzenienie jednostki ze społeczeństwa oraz wyrwanie gospodarki z jej zanurzenia (Polanyi pisze: *embeddedness*) w sieci relacji społecznych (Polanyi 2010). Warto tu zaznaczyć, że Marks w *Kapitale* zwraca uwagę na

charakterystyczną dla dojrzałego kapitalizmu dziewiętnastego wieku – i tylko dla niego – powszechną finansjeryzację ziemi, czyli nie tyle jej utowarowienie, co uczynienie z prawa własności do niej instrumentu finansowego (Marks 1968, 102–103); podobnie jak współcześnie ma to miejsce w przypadku handlu długiem hipotecznym i jego instrumentami pochodnymi. Nawet sam Polanyi nie jest zatem całkiem oryginalny w swojej definicji dziewiętnastowiecznego kapitalizmu. Pomimo to Pobłocki obstaje przy twierdzeniu, że jego własne rozważania stanowią zasadniczą reorientację teoretyczno-pojęciową, co jest dziwne, bo przecież książka Polanyi’ego to klasyka – ukazała się w 1944 roku. To prawda, że jest niestety słabo obecna i zasługuje na znacznie większą uwagę. Bardzo dobrze się stało, że Pobłocki umieszcza tego właśnie autora w centrum swoich rozważań. Przenikliwość Polanyi’ego, a szczególnie nacisk, jaki kładzie on na katastrofalne skutki utowarowienia natury, robi dzisiaj wrażenie. Moim zdaniem mankamentem *Wielkiej transformacji* jest niewielka dialektyczność sposobu myślenia Polanyi’ego – dopiero pod koniec, gdy pojawiają się rozważania dotyczące wolności, okazuje się, że relacja jednostki i wspólnoty bywa ambiwalentna oraz że wzmacnianiu tej drugiej powinna jednak towarzyszyć ochrona tej pierwszej. (*Nota bene*, u Marksa jest to ewidentne – był to myśliciel radykalnie afirmujący jednostkową autonomię i samorealizację, które uważał w ogóle za ostateczne kryterium oceny różnych systemów społeczno-gospodarczych, ale to temat na osobne rozważania.) Wcześniejsze partie *Wielkiej transformacji* mogłyby wyjść spod pióra kogoś takiego jak np. Andrzej Zybertowicz (wspólnota, wykorzenienie, konieczność odgórnych regulacji państwowych itp.), gdyby był on, rzecz jasna, lepszym pisarzem i bardziej wnikliwym obserwatorem. Zresztą czytając *Kapitalizm*, zastanawiałem się kilka razy, na kogo głosowałby Pobłocki w polskich wyborach i właściwie dopiero obszerne oraz afirmatywne odniesienie do anarchizującej antropologii Pierre’a Clastres’a przekonało mnie, że na pewno nie byłby to PiS. Wcześniej właściwie tylko systematyczne używanie żeńskich form odróżniało jego narrację od konserwatywnej krytyki kapitalizmu. Ponieważ we współczesnej debacie publicznej dla sporej części odbiorców taka diagnoza brzmi jak przyrównanie kogoś do Hitlera, czuję się zobowiązany odnotować, że o ile nie żywię szczególnej sympatii do polityków partii rządzącej, o tyle doskonale rozumiem powody, dla których popierają ich wyborcy i wyborczynie; zatem bynajmniej nie mam zamiaru obrażać Kacpra Pobłockiego – w polskim pejzażu polityki głównego nurtu popieranie prawicowego populizmu jest możliwe nawet z pozycji w pewnym sensie postępowych.

Wróćmy jednak do węższej, ekonomicznej definicji kapitalizmu i – znów – pracy najemnej. Jest czymś znamionym, a przez to domagającym się wyjaśnienia, że moment ustanowienia kapitalizmu w tym węższym rozumieniu zbiega się w czasie z tryumfem pracy najemnej jako formy globalnie dominującej. Jeśli za moment przelomowy uznamy tu, jak proponuje Pobłocki, rok 1870, to nie sposób przejść do porządku nad faktem, że z dokładnością do mniej więcej dekady w tym samym punkcie historii w różnych częściach

świata – w USA, Brazylii czy w Europie Środkowo-Wschodniej – dochodzi do obalenia niewolnych form pracy jako dominujących i oficjalnie sankcjonowanych. Nie znaczy to, że niewolna praca natychmiast znika (lub że nie ma jej dzisiaj w ogóle), zmienia się jednak jej status; nawet to, co jest – aby pójść za propozycją Graebera – rodzajem zmodernizowanego niewolnictwa, musi przedstawiać się jako swobodna sprzedaż wolnej siły roboczej na wolnym rynku. Nie będę wchodził w ekonomiczne rozważania, czy przedstawione wcześniej w skrócie stanowisko Marksa o konieczności pracy najemnej dla kapitalistycznej wymiany rynkowej jest słuszne czy nie. Inna rzecz wydaje mi się ciekawsza z socjologicznego punktu widzenia: zbieżność między wyłonieniem się kapitalizmu w węższym sensie i *nomen omen* reorientacją dominującego modelu pracy wskazuje, że praca najemna z punktu widzenia akumulacji kapitału ma jednak jakąś przewagę nad pracą niewolną. Owa przewaga wydaje mi się związana przede wszystkim z walką klas. Odejście od bezpośredniego przymusu i danie robotnikom oraz robotnicom swobody w dysponowaniu ich siłą roboczą pozwala ustanowić hegemoniczną władzę kapitału nad wzorami podmiotowości, jest więc zabiegiem ideologicznym w sensie psychoanalityczno-althusseriańskim. Jest tak, wydaje mi się, z dwóch powodów. Ruch taki czyni strategię indywidualnej emancypacji i jednostkowego awansu daleko bardziej atrakcyjnymi, niż są one w modelu pracy niewolnej. Jeśli jedynym sposobem wyrwania się jednostki z kajdan pańszczyzny czy niewolnictwa jest – poza zbiegostwem – całkowita destrukcja społecznych urządzeń je wspierających, podporządkowani i podporządkowane mają silną motywację do działania kolektywnego. Jeśli jednak pionowa mobilność zostanie otwarta dla indywidualnych awansów, solidarność stanie się mniej atrakcyjna. Jest tak tym bardziej – i tu druga kwestia – jeśli uda się w zbiorowej wyobraźni połączyć jednostkowy los z indywidualnymi wyborami. To absolutnie niemożliwe przy dominacji pracy niewolnej. Żaden niewolnik czy pańszczyźniana chłopka nie uwierzą, że ich sytuacja jest konsekwencją ich własnych wyborów. Jest dla nich zupełnie jasne, że wynika ona najczęściej z ich przynależności do określonej grupy od urodzenia albo też z jakiegoś wydarzenia o charakterze kolektywnym – np. z przegranej wojny lub bycia ofiarą sankcjonowanego przez społeczeństwo niewolnictwa. Co więcej, możliwość indywidualnego awansu będzie szczególnie atrakcyjna dla jednostek, które dysponują większymi możliwościami nawigowania w systemie ze względu na posiadanie większych zasobów czy cech takich jak charyzma, uroda bądź inteligencja. W ten sposób te i ci, którzy mogliby najwięcej wnieść do solidarnej walki, wybierają grę na własne konto.

Uważna czytelniczka zauważyła być może, że chociaż podzieliłem polemikę z tezami Kacpra Poblockiego na blok „społeczny” (powyżej) i „ekonomiczny” (tutaj), kwestie ekonomiczne i socjologiczne nieustannie się mieszają. Nie jest to wyraz intelektualnej niechlujności. Społeczna organizacja pracy w takim czy innym modelu ma swoje ekonomiczne konsekwencje. Nie chodzi tylko o cenę siły roboczej, ale też o koszty niestabilności systemu (strajki, niszczenie maszyn, a więc przerwy w produkcji, blokowanie infrastruktury

komunikacyjnej itp.). Nie ma wątpliwości, że kapitalizm jest pewną formą organizacji relacji społecznych. Marks i jego kontynuatorzy – w odróżnieniu od ekonomistów (neo)klasycznych – nie mają złudzeń co do tego, że kapitał to nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, produktywny zasób, ale relacja społeczna. Ujmowanie kapitalizmu w szerokim sensie społecznym i wąskim sensie ekonomicznym – a jest to jedno z głównych założeń Poblockiego – może mieć jakąś, ograniczoną, wartość analityczną, kompletnie jednak nie zbliża nas do zrozumienia, „jak zorganizowany jest świat”, a moim zdaniem wręcz nas od tego oddala.

Posługując się kategoriami Marksowskiej i marksistowskiej analizy, da się więc powiedzieć to wszystko, co powiedzieć chce Poblocki, a nawet więcej: kapitalizm jest systemem panowania klasowego (rozumienie społeczne), który – być może – jest w stanie realizować swój cel, czyli akumulację dla akumulacji, przy niewolnej organizacji pracy, jednak na pewno robi to najsprawniej, poddając pracę utowarowieniu (rozumienie ekonomiczne), przy czym dzieje się tak nie ze względu na ekonomiczne znaczenie pracy najemnej, ale z powodu jej użyteczności w konstruowaniu ideologicznych interpelacji. Tłumaczy to, dlaczego intensyfikacja relacji kapitalistycznych w drugiej połowie dziewiętnastego wieku wymagała ustanowienia rynku pracy najemnej, z czego – w mojej opinii – schemat analityczno-pojęciowy Poblockiego nie zdaje sprawy w sposób wystarczający.

Kapitalizm jest reżimem wprowadzanym, organizowanym i zarządzanym przez państwo. Znowu wracamy tu do pytania o sens zdania otwierającego rozważania Poblockiego: kim jest owo „my”, które nie rozumie? Powyższa teza może brzmieć zaskakująco czy nawet skandalicznie tylko dla ekonomistów (neo)liberalnych. Na przeciwstawianiu sobie rynku i państwa zbudowali oni swój główny perswazyjny trik, w oparciu o który przez trzy dekady wciskali nam ideologiczny kit w postaci koncepcji *trickle-down* i innych fantastyczno-nienaukowych wymysłów. Po kryzysie 2008 roku, gdy konsekwentne interwencje władz państwowych nie tylko uratowały „wolny” rynek przed zniszczeniem samego siebie, ale pozwoliły mu w ogóle nadal funkcjonować (tzw. luzowanie ilościowe), już nawet główny nurt mediów przestał w to wierzyć. W Polsce znajdziemy wciąż kurioza takie jak na przykład publicystyczne wynurzenia Witolda Gadowskiego, Wojciecha Maziarskiego, Janusza A. Majcherka czy Dominiki Wielowiejskiej (pozwolę sobie na „rewolucyjną przemoc” celowej i świadomej modernizacji jej nazwiska poprzez uwolnienie go od pretensjonalnego nalotu feudalizmu). W szerszym obiegu widać jednak paradoksalny zwrot: analizy sporządzane dzisiaj przez Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy przypominają bardziej odezwy i manifesty antyglobalistów sprzed 15 lat niż dokumenty publikowane wtedy przez te same instytucje.

Nie jest tak, że zaproponowana przez Poblockiego wizja kapitalizmu jako ściśle powiązanego z władzą państwową nie ma teoretycznych prefiguracji. Wskażę tylko dwie. Po

pierwsze – Giovanni Arrighi. Jego badania nad przemianami kapitalizmu w ostatnich pięciuset latach pokazują, że akumulacja kapitału zawsze i wszędzie odbywała się przy wsparciu władz państwowych. A nawet więcej: była przez nie koordynowana i organizowana. Jedną z pierwszych osad założonych przez Kolumba w Nowym Świecie nosiła nazwę La Isabela, bo to królowa Izabela I Katolicka zorganizowała jego wyprawę. Mieszko I, będący w narracji Poblockiego pierwszym polskim kapitalistą, w niczym nie różni się pod tym względem od królowej Elżbiety I Tudor, która wysłała korsarza Francisa Drake’a na łupieżczą wyprawę dookoła świata, czy od naszego obecnego rządu promującego „patriotyzm gospodarczy”. Widzę, rzecz jasna, różnicę pomiędzy konkretnymi tezami oraz analizami Poblockiego i Arrighiego – o której to różnicy autor historii krótkiego trwania kapitalizmu sam wspomina – nie zmienia to jednak bardziej istotnego faktu, że obaj oni pracują w tym samym fundamentalnym paradygmacie, który wbrew neoliberalom opiera się na przekonaniu, iż nie da się ani zorganizować kapitalizmu, ani też go zrozumieć, nie umieszczając w swoim najbliższym polu zainteresowania mechanizmów władzy państwowej.

I drugi znaczący przykład: Loïc Wacquant. Kacper Poblocki przywołuje jego książkę *Więzienia nędzy* z 1999 roku, pomija jednak jego artykuł „Trzy kroki w stronę historycznej antropologii faktycznie istniejącego neoliberalizmu” (Wacquant 2012). Tak tytuł tekstu, jak i zawarty w nim postulat Wacquanta, aby nie dyskutować o tym, czym jest neoliberalizm w deklaracjach jego zwolenników czy przeciwników, ale etnograficznie wręcz przyjrzeć się jego faktycznej praktyce, powinny być bliskie metodologicznej pozycji Poblockiego, którą zresztą uważam za wartościową. Wacquant, posługując się przejętymi od Bourdieu pojęciami prawej (nadzorująco-karzącej) i lewej (opiekuńczo-wspierającej) ręki władzy, świetnie pokazuje, że w realnym sprawowaniu władzy przez neoliberalne rządy nigdy nie chodziło o osłabienie, a już na pewno nie o zniszczenie władzy państwowej, aby w ten sposób uwolnić potencjał rynku, ale o transfer władzy z lewej ręki do prawej. Państwo neoliberalne nie jest wcale słabsze, ani nie wpływa mniej na relacje społeczne niż państwo dobrobytu, które zastąpiło. Sprawuje po prostu w inny sposób inny rodzaj władzy. Jej efekty są też inaczej rozłożone klasowo, co Wacquant ilustruje, odwołując się do metafory centaury: neoliberalne rządy są eleganckim i miłym biznesmenem ubranym w garnitur na górze, czyli dla klas wyższych, a bezwzględną bestią kopiącą kopytami na dole – dla klas niższych. W obu przypadkach realizują prerogatywy władzy, a neoliberalny kapitalizm jest – tak jak wszystkie inne warianty kapitalizmu – ściśle zarządzany i organizowany przez państwo. Nie przeczę, że poszczególne spostrzeżenia czy propozycje Poblockiego dotyczące znaczenia władzy państwowej dla działania kapitalizmu mogą być nowe i oryginalne, jednak trudno tu mówić o jakiegokolwiek reorientacji całościowej ramy.

Aby zrozumieć kapitalizm i jego przemiany, trzeba uwzględnić kluczową rolę relacji przestrzennych. Jest prawdą, że spora część ujęć kapitalizmu lokuje jego istotę oraz podstawowy horyzont przemian poza wymiarem przestrzennym. Chodzi tu nie tylko o eksponowanie czasowej ewolucji przy pomijaniu przestrzennej rekonfiguracji, co Pobłocki zarzuca marksistowskiemu schematowi przejścia od feudalizmu do kapitalizmu, w którym „kiedy?” góruje nad „gdzie?” i „poprzez jakie relacje przestrzenne?”. Ten sam zarzut pominięcia przestrzeni odnosi się do zwolenników Adama Smitha, którzy akcentują znaczenie podziału pracy (a więc zmiany w wymiarze organizacyjnym) czy też Maxa Webera, dla których kluczowa ewolucja zaszła w wymiarze wartości kulturowych (protestancka etyka pracy). Trudno jednak utrzymać tezę, że w tradycji marksistowskiej nieobecny jest temat (re)konfiguracji relacji przestrzennych tak w skali miasta, jak i w ujęciu globalnym. Wątek ten jest tak obszerny i rozbudowany, że mogę tu wskazać tylko przekrojowo na niektóre istotne momenty. Mamy więc paraetnograficzną pracę Engelsa o położeniu klasy robotniczej w Anglii. Znajdziemy w niej osobny, obszerny rozdział o wielkich miastach, a podziały klasowe są tu przez Engelsa opisywane między innymi w powiązaniu z przestrzenną segregacją (Engels 1961, 299–257). Rzeczywiście u samego Marksa myślenie o przestrzeni jest słabo rozwinięte, a na pewno relacje przestrzenne nie zajmują istotnego miejsca w jego opisie procesu akumulacji, ale u jego kontynuatorów wygląda to już inaczej: dla Lenina w rozwój kapitalizmu istotowo wpisane jest tworzenie określonych relacji i konfiguracji przestrzennych, rozwój ów jest bowiem związany z imperializmem, czyli podporządkowywaniem terytoriów. Pobłocki powiedziałby zapewne, że Lenin operuje koncepcją przestrzeni absolutnej, a nie relacyjnej i miałby oczywiście rację, ale myślenie o przemianach kapitalizmu w ścisłym powiązaniu z relacjami przestrzennymi było jednak obecne w marksizmie dobre sto lat temu i wydaje mi się nawet, że pojawiło się najpierw – i przede wszystkim – w tej właśnie tradycji intelektualnej. Imperializmem i jego związkami z akumulacją kapitału zajmowała się obszernie Róża Luksemburg. Wreszcie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku kształtuje się szkoła teorii zależności i systemów-światów, dla której określone konfigurowanie relacji przestrzennych i przepływów między nimi jest w ogóle kluczowym elementem rozumienia kapitalizmu. Tak jest u Arrighiego (np. relacja między dwoma biegunami kapitalistycznego silnika nowoczesnej akumulacji na południu i północy Europy), a wcześniej u Samira Amina, którego monumentalne dzieło *Accumulation à l'échelle mondiale* wydane w 1970 roku jasno pokazuje, że przekonanie, iż kapitalizm narodził się w jakimś określonym miejscu, jest złudzeniem, a procesu akumulacji nie da się zrozumieć inaczej, niż ujmując go przestrzennie w skali globalnej (Amin 1970).

Podkreślę raz jeszcze: zdaję sobie sprawę, że Kacper Pobłocki w wielu momentach stawia tezy odmienne czy nawet polemiczne wobec tych ujęć, trudno jednak obronić tezę, że wprowadzenie czynnika przestrzennego do analizy kapitalizmu to jakkolwiek rodzaj odkrycia,

a tym bardziej, że dokonał go Pobłocki czy choćby Neil Smith, jego – jak autor sam pisze – mentor.

Jeśli chodzi o tego ostatniego: pod koniec *Kapitalizmu. Historii krótkiego trwania* Pobłocki poświęca sporo uwagi pojęciom przestrzeni absolutnej i relacyjnej, które wiąże ze Smithem. Tymczasem w klasycznej książce Smitha *Uneven Development. Nature, Capital, and the Production of Space* mowa jest o przestrzeni absolutnej oraz względnej (są one definiowane poprzez odniesienie do Newtona i Einsteina, więc nie mamy specjalnie dużego wyboru, jak przekładać owe angielskie terminy na język polski). W przypisie Smith wspomina, że „Harvey w *Social Justice* wprowadza trzecie pojęcie – przestrzeń relacyjną – jednak rozróżnienie na przestrzeń względną i relacyjną nie jest wystarczająco wyjaśnione” (Smith 2008, 277). Pobłocki wydaje się też nadawać terminowi przestrzeni relacyjnej nieco inne znaczenie, niż ma przestrzeń względną u Smitha, być może więc chodzi raczej o pojęcie Harveyowskie. Ale mniejsza o to, nie ma co pograżać się w akademickiej scholastyce. Wspominam o tej parze terminów z innego powodu. Myślenie w kategoriach centrum i peryferii to doskonały przykład użycia pojęcia przestrzeni względnej: są one definiowane jako zasadniczo i jakościowo odrębne oraz różne od siebie obszary, w których kapitalizm produkuje odmienne skutki społeczne, polityczne i materialne. Jest to więc, jak chce Smith, definiowanie przestrzeni „w relacji do materialnych obiektów i zdarzeń” (Smith 2008, 98) czy też przez „szczególne relacje społeczne” (Smith 2008, 103), a nie w kategoriach absolutnej homogeniczności, jak ma to miejsce na przykład w znanym hasle Thomasa Friedmana, że świat jest płaski (czyli wszędzie taki sam). Potwierdza to, że kluczowe reorientacje w podejściu do przestrzeni i jej roli w działaniu kapitalizmu nastąpiły pięć albo sześć dekad temu, trudno więc dzisiaj traktować je jako szczególne odkrycie.

Pobłocki opisuje też dwa typy przestrzennej ekspansji kolonialnej: euroazjatycki (poszerzanie terytorium kontrolowanego bezpośrednio przez władzę polityczną) oraz amerykański (tworzenie takich relacji między „metropolią” a „koloniami”, które zapewniają korzystną konfigurację relacji gospodarczych, ale nie muszą wiązać się z bezpośrednim podporządkowaniem metropolitarnej władzy suwerennej). Ten drugi jest przez niego uznawany za coś nowego i determinującego specyfikę współczesnego kapitalizmu. Mam co do tego poważne wątpliwości. Pobłocki poświęca moim zdaniem zbyt mało uwagi analizie różnych typów i sposobów panowania kolonialnego. Bezpośrednie podporządkowanie danego terytorium i wcielenie go do własnych struktur politycznych to tylko jedna z możliwości. Oprócz tego mamy protektoraty, dominia, terytoria zależne bądź sprawowanie rządów pośrednich. Pojawiały się też formy własności i władzy, na które nie mamy nawet rodzajowej nazwy: tak na przykład Kongo przez pierwszą część swojej kolonialnej historii – a dokładnie w latach 1886–1908 – było... wyłączną własnością Króla Leopolda II, czymś jakby wielkim prywatnym ranczem o powierzchni równej 80 ówczesnych Belgii i 10% całej Afryki (*sic!*).

Różne europejskie potęgi kolonialne w różnych momentach historii stosowały różne strategie, co później miało też zróżnicowane skutki polityczne, społeczne i gospodarcze dla społeczeństw zdominowanych. Pisałem o tym w książce *Ciesz się, późny wnuku! Kolonializm, globalizacja i demokracja radykalna* (Sowa 2007). Nie ma czegoś takiego jak „euroazjatycki model kolonializmu”, a przekonanie, że relacyjny model amerykański jest inny bądź nowy, uważam za błędne. Imperium holenderskie miało w istotnym zakresie charakter relacyjny, zwłaszcza w jego wczesnej fazie, która obejmowała również kontakty z sarmacką Polską. Nie było żadnej politycznej ani militarnej dominacji Holendrów nad Rzeczpospolitą, gdy jednak w czasie potopu Szwedzi zablokowali Gdańsk, Republika Zjednoczonych Niderlandów wysłała kilkadziesiąt okrętów, aby udrożnić tę ważną dla nich drogę handlową. Holendrzy podejmowali również liczne działania dyplomatyczne, aby nie pozwolić rywalizującym z nimi Anglikom na przejęcie kontroli nad handlem w Gdańsku. Były to działania bardzo podobne do tych, które podejmują dzisiaj Amerykanie w wielu miejscach świata, szczególnie w Ameryce Środkowej i Południowej. Brytyjski model rządów pośrednich to inny dobry przykład paradygmatu organizującego współcześnie imperializm USA. Gdybyśmy trzymali się definicji domniemanego modelu euroazjatyckiego, trzeba by przyznać, że Brytyjczycy zarządzili Indiami tylko przez niespełna stulecie – od 1858 do 1947 roku – bo wyłącznie w tym okresie Korona Brytyjska sprawowała suwerenną, polityczną władzę na subkontynencie indyjskim. Jednak wcześniej, również przez mniej więcej sto lat, Indiami władała Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska, która była... najzwyczajniejszą firmą, a mówiąc konkretnie, spółką akcyjną (*joint-stock company*), którą w dzisiejszej terminologii nazwalibyśmy spółką skarbu państwa. Są to nie tylko przykłady zgodne ze współczesnym sposobem działania USA, ale nawet coś więcej: mamy oto swoistą prefigurację suwerennej władzy korporacji, w kierunku której ewoluuje amerykański system polityczny (celowo używam pozornie bezsensownej zbitki łączącej określenia stosowane do opisu politycznej władzy państwa oraz niepolitycznej struktury gospodarczej). Nie ma w tym nic nowego czy typowego dla USA, i z tego też powodu trudno uznać tę akurat okoliczność za dystynktywną cechę współczesnego kapitalizmu, jak chce Poblocki.

W książce Kacpra Poblockiego znajdziemy jeszcze kilka innych, drobniejszych i mniej istotnych fragmentów, w których ogłaszany jest zwrot oraz przełom i w których mamy do czynienia z ignorowaniem wcześniejszych – czasem nawet dużo wcześniejszych – pojęć i teorii, tak naprawdę budujących ramę dla perspektywy przyjętej w *Kapitalizmie. Historii krótkiego trwania*. Nie ma, rzecz jasna, nic złego w poruszaniu się w istniejącej już ramie pojęciowej i w wykorzystywaniu terminologicznych oraz konceptualnych innowacji wcześniejszych badaczy i badaczek, zwłaszcza jeśli, jak Poblocki, używa się ich do skonstruowania ciekawych, w znacznej części trafnych i inspirujących narracji na temat świata, w którym żyjemy. Nie jestem fanatycznym wyznawcą ultraawangardowego kultu nowości. I właśnie z tego powodu nie sądzę,

aby równie ostentacyjne zachwalanie swoich dywagacji jako przełomu i reorientacji miało wartość – czy to absolutną, czy względną.

Niewątpliwym atutem książki Poblockiego jest bardzo obszerne wykorzystanie różnorodnego materiału empirycznego, któremu towarzyszy relacjonowanie olbrzymiej ilości badań oraz teoretycznych analiz. Chylę czoła przed wszechstronną erudycją autora oraz jego zdolnością do zestawiania w dość spójne konstrukcje intelektualne danych, wydarzeń i procesów zaczerpniętych z rejestrów bardzo oddalonych od siebie w czasie i w przestrzeni. Szczególnie ciekawe są moim zdaniem części poświęcone załamaniu na rynku amerykańskich kredytów *subprime* z 2008 roku (wreszcie mamy polską publikację pokazującą całą złożoność i liczne konsekwencje tego zjawiska) oraz genezie państwa polskiego. Po przeczytaniu książki Poblockiego nigdy nie spojrzę już w ten sam sposób na banknot dziesięciozłotowy z podobizną twórcy naszego państwa – dlatego, że jest to Mieszko, oraz dlatego, że jest to banknot. Nie będę odbiorcom i odbiorczyniom psuł przyjemności czytelniczej, streszczając tę część *Kapitalizmu. Historii krótkiego trwania*, która była dla mnie w ostatnim czasie jedną z najbardziej odkrywczych i zaskakujących lektur. Ciekaw jestem, jak zareagują na propozycje Poblockiego historycy oraz historyczki. Po doświadczeniach, jakie miałem podczas dyskusji nad *Fantomowym ciałem króla*, wiem, że może być bardzo różnie.

W zestawianiu i kombinowaniu różnorodnego materiału empirycznego i teoretycznego, jakiego dokonuje Poblocki, widzę jednak jeden zasadniczy problem: materiał empiryczny jest raczej dobierany tak, aby ilustrował jakieś szersze i bardziej ogólne procesy. Wtedy wszystko gra. Gorzej jest wówczas, gdy Poblocki próbuje wyjaśnić zjawiska, które pojawiają się w toku wywodu nie dlatego, że są częścią takiej teoretyczno-empirycznej konstrukcji, ale dlatego, że są po prostu zbyt istotne, aby można było usunąć je z obszaru rozważań. Wtedy jego imponująca maszyna teoretyczna jakby zacina się, produkując wyjaśnienia tak zadziwiająco słabe i konstruowane *ad hoc*, że wyraźnie kontrastują one z wyrafinowaniem całości. Chodzi mi przede wszystkim o dwa momenty: gdy Poblocki wyjaśnia przyczyny upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz przedstawia genezę współczesnej dominacji Zachodu – czy też bloku atlantyckiego – nad resztą planety. Zaczniemy od tej pierwszej sprawy.

Kacper Poblocki poświęca nieco miejsca krytyce przekonania o koniecznie złym wpływie pańszczyzny na gospodarkę i podaje przykłady państw – jak Prusy, Rosja czy Imperium Brytyjskie – w których pomimo znacznego udziału niewolnej siły roboczej (pańszczyźnianej bądź niewolniczej) nie doszło do załamania podobnego jak w Rzeczypospolitej. Twierdzi też na przykład, że wolna elekcja istniała wcześniej w Danii, która nie upadła. Te kontrprzykłady są z różnych powodów chybione. Załedwie kilka stron dalej Poblocki słusznie zwraca uwagę, że zestawianie modeli rozwojowych bez brania pod uwagę terytorialnej rozległości państw, w których owe modele działają, jest pozbawione sensu. Trafnie wskazuje choćby, że ulubione przykłady neoliberalistów – Tajwan, Korea Południowa czy Szwajcaria – to państwa stosunkowo

niewielkie. Do tego moim zdaniem dodać trzeba położenie geograficzne. Słynne dalekowschodnie tygrysy to wyspy, porty lub państwa otoczone w większości morzem. Przyznać wypada, że stosując tę samą logikę do omawiania sytuacji środkowoeuropejskiej, nie uzyskamy sensownych rezultatów, nawet porównując I Rzeczpospolitą do Prus, nie mówiąc już o Danii, która z punktu widzenia geograficzno-handlowego zajmuje taką pozycję w regionie jak Singapur w Azji Południowo-Wschodniej. Dodajmy do tego fakt, że w siedemnastym czy osiemnastym wieku miarą przestrzeni był czas potrzebny na jej pokonanie: Francja liczyła na przykład trzy tygodnie z południa na północ i tyle samo ze wschodu na zachód, przypomina Poblöcki. Z tego powodu geometryczną dysproporcję terytorialną między Prusami, rozciągniętymi wzdłuż Morza Bałtyckiego stanowiącego dogodny, szybki i doskonale opanowany szlak komunikacyjny, a Rzeczpospolitą, sięgającą daleko na ukraińskie stepy i pozbawioną choćby jednej rzeki płynącej ze wschodu na zachód, trzeba przemnożyć przynajmniej kilku-, jeśli nie kilkunastokrotnie. Jak argumentowałem w *Fantomowym ciele króla*, jednym z istotnych powodów upadku I Rzeczypospolitej był jej terytorialny rozrost niekorespondujący ani ze zdolnościami organizacyjnymi jej włodarzy, ani z zasobami politycznymi, społecznymi oraz materialnymi, jakimi dysponowali. Gdyby w szesnastym wieku polskie elity, zamiast przeć na Wschód w celu maksymalizacji indywidualnych korzyści kilku magnackich rodów (ziemia, jak uważa sam Poblöcki, zawsze była źródłem bogactwa), przytuliły swój kraj bardziej do Bałtyku i wzmocniły politykę morską (Polska od 1635 do 1918 roku nie posiadała marynarki wojennej), historia mogłaby potoczyć się inaczej. Możliwe, że bardziej kompaktowe państwo złożone z Wielkopolski, Małopolski, Mazowsza oraz Pomorza (z niewielkimi przyległościami), prowadzące bardziej trzeźwą i mniej życzeniową politykę, nigdy nie zniknęłoby z mapy, nawet gdyby utrzymało zarówno pańszczyznę, jak i swój osobliwy ustrój polityczny.

Ogólnie rzecz biorąc, monokauzalne strategie eksplikacyjne typu „wszystko przez pańszczyznę” albo „wszystko przez *liberum veto*” mają mały sens nie tylko ze względu na konfigurację różnych czynników w tym konkretnym przypadku, ale także z bardziej zasadniczego powodu: w świecie ludzkim bardzo niewiele zjawisk – jeśli w ogóle jakiegokolwiek – ma jedną przyczynę. Większość procesów jest raczej naddeterminowana, aby użyć Freudowskiej kategorii, którą chętnie posługiwał się Althusser. Dlatego właśnie *Fantomowe ciało króla*, poświęcone w jakiejś mierze odpowiedzi na pytanie o przyczyny upadku I Rzeczypospolitej, okazało się – wbrew moim wcześniejszym intencjom – książką tak obszerną pod względem zjawisk, do których się odnosi. Za Jackiem Kochanowiczem zwracam w niej uwagę dokładnie na ten sam fakt, który podkreśla Poblöcki, a mianowicie na to, że niektóre ościenne kraje miały bardzo podobny model ekonomiczny i dlatego nie da się wyjaśnić losu sarmackiego państwa, badając tylko i wyłącznie jego gospodarkę (Sowa 2011, 230). Najkrócej rzecz ujmując, trzeba rozważyć splot kilku czynników, w tym szczególnie konkretne

połączenie modelu gospodarczego, organizacji politycznej oraz relacji klasowych między szlachtą a chłopstwem i mieszczaństwem. Dopiero ich określoną konfigurację w ramach całości zwanej „republiką sarmacką” można zasadnie uznać za powód czegokolwiek.

Doskonale to widać, gdy z takiej perspektywy spojrzymy na dwa inne kontrprzykłady Poblockiego: Rosję i Imperium Brytyjskie. W tej pierwszej również funkcjonowała gospodarka pańszczyźniana, ale w szesnastym i siedemnastym wieku Rosja dokonała reform politycznych wzmacniających centralną władzę, osłabiających pozycję arystokracji i pozwalających na stworzenie w miarę sprawnie działającej maszyny administracyjno-biurokratycznej (coś podobnego zrobiła zresztą w tym okresie Szwecja, a Dania w 1660 roku przestała być monarchią elekcyjną). W efekcie Rosja mogła na przykład wystawić ogromną armię posłuszną władcy, podczas gdy w I Rzeczypospolitej armie magnackie walczyły albo między sobą, albo z polskim królem.

To, jak istotny jest splot czynników gospodarczych z politycznymi i społecznymi, dobrze pokazuje zaproponowane przez Poblockiego zestawienie I Rzeczypospolitej z Imperium Brytyjskim, które w osiemnastym wieku kwitło między innymi dzięki niewolniczej pracy w koloniach. To prawda, ale zupełnie inaczej wyglądały tam relacje klasowe. W jakim stanie byłoby Imperium Brytyjskie w wieku osiemnastym, gdyby sto lat wcześniej brytyjska arystokracja zrobiła to, co polska: zakazała rodzimym kupcom prowadzenia handlu zagranicznego, delegowała wszystkie swoje kontakty handlowe ze światem zewnętrznym do jednego jedyne go portu – który w dodatku byłby miastem na wół niezależnym – i powierzyła w zasadzie całą obsługę swojej wymiany międzynarodowej Holendrom? Odpowiedź jest raczej oczywista.

Co więc zdaniem Poblockiego zdecydowało o upadku I Rzeczypospolitej? Cóż... „kilka złych decyzji oraz szereg niefortunnnych zbiegów okoliczności” (Poblocki 2017, 220). Wolne żarty! Nic chyba w *Kapitalizmie. Historii krótkiego trwania* nie rozczarowało mnie tak bardzo, jak ten fragment. Nie wiem, jaki sens ma rozkręcanie tak wielkiej i złożonej maszynerii pojęciowej, przywoływanie takiej masy teorii i faktów, opisywanie licznych procesów i zjawisk, aby na równie istotne pytanie odpowiedzieć w tak banalny i nieprzekonujący sposób. Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby kwestia ta w ogóle nie znalazła się w książce.

Właściwie mógłby to być dobry moment, abym ustosunkował się do kilku innych fragmentów, w których Poblocki odnosi się do *Fantomowego ciała króla*. Niestety ma to niewielki sens. Z przykrością stwierdzam, że chociaż nasze opinie są zbieżne o wiele częściej, niż można by sądzić na podstawie samej lektury *Kapitalizmu. Historii krótkiego trwania*, Kacper Poblocki przywołuje moją książkę wyłącznie wtedy, gdy chce podać przykład jakiejś błędnej jego zdaniem tezy, lub wtedy, gdy chce przypisać mi opinie oraz twierdzenia, których nigdy nigdzie nie wypowiedziałem. Z jego książki na przykład dowiedziałem się, że uważam, iż na Zachodzie istniał „autentyczny kapitalizm” (to dosłowny cytat: Poblocki 2017, 32), a w Polsce go nie było.

Tymczasem w swojej pracy pokazywałem, iż kondycja sarmackiej Polski była determinowana w dużej mierze przez to, że została ona włączona jako obszar peryferyjny w obieg rodzącej się na Zachodzie gospodarki kapitalistycznej i że nasza historia była właśnie historią kapitalizmu, tyle że wydarzyła się na jego obrzeżach, a nie w centrum. W innym miejscu Pobłocki ogłasza, że idąc za tezą postawioną przez Krzysztofa Brzechczyńskiego, uważam prawo książęce za „kolejne wcielenie azjatyckiego despotyzmu” (Pobłocki 2017, 395). W dwóch krótkich zdaniach poświęconych temu zagadnieniu pojawiają się cztery nieprawdy. Po pierwsze, nie napisałem, że Krzysztof Brzechczyński postawił taką tezę, ale że szedł on tropem Karola Modzelewskiego, który w książce *Organizacja gospodarczą państwa piastowskiego. X–XIII wiek* rozważa tę kwestię. Po drugie, ja sam nie stawiam żadnej tezy, tylko relacjonuję poglądy Modzelewskiego i Brzechczyńskiego. Po trzecie, bynajmniej nie piszę, że ich zdaniem coś było „kolejnym wcieleniem” czegoś, tylko że jedno zjawisko było pod pewnymi względami bliskie drugiemu zjawisku, czyli podobne do niego, a to coś zupełnie innego (człowiek jest podobny do ryby pod tym względem, że ma metabolizm oparty na tlenie, ale nie znaczy to, że człowiek jest „kolejnym wcieleniem” ryby – w ten sposób każde zdanie można sprowadzić do absurdu). Po czwarte zaś, wspomniani powyżej autorzy nie mówią o „azjatyckim despotyzmie”, tylko o azjatyckim sposobie produkcji. Termin „azjatycki despotyzm” wydaje mi się niefortunną i nieco publicystyczną zbitką powstałą z połączenia pojęć „orientalnego despotyzmu” oraz „azjatyckiego sposobu produkcji”. Pochodzą one z różnych tradycji intelektualnych, powstały z różnych pobudek i do czego innego miały służyć: pierwsze pojęcie ukuli Grecy, aby odróżnić się od Persów, drugie zaproponował Marks, żeby opisać szczególny jego zdaniem sposób organizacji produkcji w niektórych państwach Azji, zwłaszcza w Chinach i w Indiach (ale nie tylko). Termin „azjatycki despotyzm” bywa czasem używany, ale nie wiem, do jakich koncepcji odwołuje się Pobłocki i czy nie jest to przypadkowy błąd. Nie będę też dociekał, „co autor miał na myśli”. Uważam, że ktoś, kto tak tendencyjnie i niechlujnie odnosi się do komentowanego tekstu, nie zasługuje na to, aby z nim na ten temat dyskutować.

Nie piszę o tym dlatego, że się obraziłem i chcę przedstawić książkę Pobłockiego jako bezwartościową. Wręcz przeciwnie – mimo wielu uwag polemicznych, które przedstawiłem powyżej, mogę jeszcze raz powtórzyć, że przeczytałem *Kapitalizm. Historię krótkiego trwania* z przyjemnością i intelektualnym pożytkiem. Uważam tę pracę za pozycję wartościową i ważną, a w polskim kontekście nawet bardzo ważną. Żałuję, że Pobłocki nie chce podejść z większą intelektualną uczciwością do rzeczy, które napisałem – nie tylko z powodu mojego wrodzonego narcyzmu, ale również dlatego, że obaj obracamy się wokół tych samych problemów i mamy bardzo podobne punkty aksjologicznego zapikowania. W bardzo wielu przypadkach mam dokładnie takie samo zdanie, jak autor, a w szczególności obce jest mi esencjalistyczne i zachodniocentryczne myślenie, w ramach którego w Europie i bloku atlantyckim dostrzega

się jakieś szczególne cnoty czy wartości sprawiające, że obszar ten z natury góruje nad resztą świata.

Lektura książki Poblockiego miała dla mnie również taki pożytek, że dzięki niej ponownie przemyślałem ramę pojęciową i terminologię, jaką posługiwałem się, pisząc *Fantomowe ciało króla*. Jest w nich rzeczywiście podstawowa niespójność. Schemat teoretyczny tej książki opiera się zasadniczo na koncepcji systemów-światów, w którym centrum i peryferie są ze sobą ściśle połączone, a więc wszelkie ograniczenia rozwojowe tych drugich są związane z wpływem tego pierwszego. Jak pokazywał na przykład Andre Gunder Frank, niedorozwój jednych obszarów jest wyprodukowany przez rozwój innych i nie stanowi żadnego „naturalnego” czy „normalnego” stanu wynikającego z lokalnych uwarunkowań. Tymczasem na poziomie terminologicznym w tekście *Fantomowego ciała króla* często pojawia się termin „zacofanie”, który *implicite* przywołuje liniowe modele teorii modernizacji. Wprowadza to niespójność i jest dezorientujące. Myślałem nad tym trochę, pisząc książkę, ale może należało poświęcić tej sprawie więcej uwagi i *expressis verbis* uzasadnić dobór używanych terminów. Ostatecznie wybrałem „zacofanie”, a nie „niedorozwój” – który byłby o wiele wierniejszym przekładem angielskiego *underdevelopment* – przede wszystkim z dwóch powodów.

Po pierwsze, specyfika Polski polega na tym, że w odróżnieniu od Indii, Peru czy Angoli leży ona w Europie i należy od tysiąca lat do tego samego obszaru cywilizacyjnego co Holandia czy Wielka Brytania, wyznaczanego przede wszystkim przez chrześcijaństwo, ale również przez silne związki gospodarcze i kulturowe. Ma to wielkie znaczenie, co dobrze diagnozuje Alexander Kiossev w przesłankach do swojej koncepcji samokolonizacji (bardziej wątpliwe są jego wnioski, a całkowicie nie do przyjęcia użytek, jaki dzisiaj w Polsce robi z tego pojęcia konserwatywny postkolonializm, ale to osobna sprawa). Z tego powodu przekonanie o przynależności Polski i Europy do tej samej formacji rozwojowej, w obrębie której jedne kraje rozwijają się szybciej, a inne wolniej, nie jest aż tak wielkim uproszczeniem, z jakim mamy do czynienia w przypadku zestawiania ze sobą obszarów o kompletnie odmiennej historii, zwłaszcza jeśli mówimy o okresie od połowy osiemnastego wieku, kiedy to dominująca część polskich elit zdecydowała, że należy dogonić Zachód, kopiując jego rozwiązania (Konstytucja 3 maja, która zniszczyła wszystkie filary ładu sarmackiego, była właśnie wyrazem chęci doganiania Zachodu, a nie jakimś tryumfem kultury staropolskiej, jak mniemają niektórzy).

Po drugie zaś, słowo „niedorozwój” ma w języku polskim silne konotacje, które również stoją w sprzeczności z intencjami teorii zależności – implikuje ono jakiś rodzaj deformacji, a pośrednio również zacofanie; tak na przykład o zaburzeniach rozwojowych u dzieci mówi się czasem jako o „opóźnieniach w rozwoju”. W tym sensie, tłumacząc „niedorozwinięty” znów na angielski, otrzymalibyśmy raczej *retarded* niż *underdeveloped*. Model powszechnego liniowego rozwoju wyrzucony drzwiami, wraca oknem.

Poblocki zamiast terminu „zacofanie” proponuje pojęcie „nierówny rozwój” zaczerpnięte od Neila Smitha. Nie jest to najgorsze rozwiązanie, pod pewnymi względami jest lepsze niż moje, ale nie jest ono też całkowicie wolne od tych samych słabości. Sam „rozwój” implikuje zmianę zgodną z jakimś pozytywnie waloryzowanym i z góry założonym schematem, jeśli nie konstrukcyjnym, to przynajmniej aksjologicznym: o dziecku, które rośnie, powiemy, że się rozwija, ale gdy wzrost ów zaczyna znacznie przekraczać ustalone dla organizmu ludzkiego normy, mówimy o patologii, a nie o rozwoju. W takim przypadku mamy taki luksus, że właściwy wzrost definiuje statystyka i natura, ale nic podobnego nie istnieje w odniesieniu do społeczeństw ludzkich, zwłaszcza jeśli zestawiamy formacje pochodzące z odległych od siebie miejsc i kontekstów społeczno-kulturowych. Nie da się arytmetycznie opracować jednej właściwej formy społecznego, gospodarczego czy kulturowego rozwoju poprzez uśrednianie tego, co empirycznie dane. Ambaras jest tym większy, że epitet „nierówny” sugeruje istnienie zewnętrznego wobec zestawianych przypadków kryterium pomiaru – można powiedzieć, że jeden człowiek jest wyższy od drugiego, bo podajemy ich wzrost w centymetrach, czyli przyrównujemy go do zewnętrznej, niezależnej miary (stawiając ich obok siebie, również porównujemy ich przy pomocy zewnętrznego, niezależnego od nich wymiaru przestrzennej rozciągłości). W przypadku ludzkich społeczeństw niczym takim nie dysponujemy. Idąc tropem etnometodologii, można by powiedzieć, że w takim razie powinniśmy używać autochtonicznych, immanentnych mierników rozwoju, mierząc każde społeczeństwo, grupę czy kraj według ich własnych standardów. To tylko pozornie rozwiązuje problem. Co jeśli normy dominujące w dwóch społecznościach są sobie zasadniczo przeciwstawne? Na przykład jedna społeczność uznaje emancypację kobiet za centralną wartość, a druga – przeciwnie – uważa, że dobre społeczeństwo to takie, w którym kobiety „znają swoje miejsce”? Jeśli przyjmiemy immanentne kryteria rozwoju społecznego, okaże się, że o równym rozwoju możemy mówić wtedy, gdy w jednym miejscu panuje pełne równouprawnienie, a w drugim absolutny patriarchy. Nie są to bynajmniej wydumane problemy. Edward Banfield pokazał na przykład, że w południowych Włoszech, w czasie gdy prowadził tam badania, patronaż i korupcja były powszechnie akceptowanymi sposobami organizacji relacji społecznych (Banfield 1958); podejście immanentne kazałoby więc uznać, że rozwój tego obszaru polega na nasilaniu relacji typu klient–patron. Innym przykładem mogą być Stany Zjednoczone i ich miłość do broni palnej: czy ułatwianie dostępu do broni oznacza rozwój tego kraju? Wątpię.

Ograniczenie znaczenia rozwoju wyłącznie do kwestii materialnych wcale nie rozwiązuje problemu. W jednym miejscu wartością może być maksymalizowanie całościowego wolumenu bogactwa bez zważania na jego dystrybucję (czyli wzrost PKB), a gdzie indziej za właściwą uznana będzie relacja, w której wszyscy otrzymują po równo (jak najniższy współczynnik Giniego), nawet jeśli oznacza to mniejszy wolumen. Który wzorzec jest rozwojowy?

To podstawowy problem i czego nie zrobimy, różnego rodzaju centryzmy i liniowości powrócą. W Polsce obszernie opisał to ostatnio filozof Adam Kubiak w ciekawej książce *Rzeczy mniejsze. Dysformia i fiasko: semi-peryferyjne formy kultury* (Kubiak 2015), ale nikt nie podjął z nim dialogu. Okazuje się, że nawet teoretycy i teoretyczki mówiący dużo o końcu paradygmatu centro-peryferyjnego i o globalnej reorientacji wolą dyskutować z autorami i autorkami z centralnego, zwłaszcza angloamerykańskiego obiegu intelektualnego, czego książka Poblockiego jest niestety dobrym przykładem. Autorzy i autorki z peryferii są przywoływani rzadko, a podział intelektualnej pracy jest zorganizowany tak, że wnoszą oni do wspólnego zasobu wiedzy właściwie wyłącznie treści związane z partykularnymi kwestiami peryferii (Witold Kula i jego książka o miarach to jeden z bardzo nielicznych wyjątków). Od stawiania diagnoz ogólnych oraz tworzenia pojęć są badacze i badaczki z centrum. Być może nie da się inaczej napisać podobnej książki, ale to wskazuje raczej na trwałość i siłę podziału na centrum oraz peryferie, a nie – jak chce Poblocki – na wychodzenie poza ów schemat czy na jego osłabienie.

Gdyby konsekwentnie trzymać się krytyki centryzmów i liniowości, należałoby mówić tylko o „różnorodności form”, a nie o „nierówności rozwoju”. Taka strategia znajduje się w samym centrum postrukturalizmu z jego – słusznie zdiagnozowaną przez Fredrica Jamesona – tendencją do porządkowania przedmiotów zainteresowania wyłącznie w horyzontalnym wymiarze różnorodności i do odmowy wartościowania czegokolwiek w wymiarze wertykalnym (Jameson 1988). Dlatego właśnie hermeneutyka, jak chciał Jameson, w postrukturalizmie zostaje zastąpiona przez intertekstualność, a formacje intelektualne, które są w jego obrębie przyswajane, jak na przykład psychoanaliza, muszą zostać pozbawione wertykalności poprzez odrzucenie wszelkich figur o charakterze fundacyjnym (doskonale ilustruje to los psychoanalizy lacanowskiej, z której postrukturalizm usunął kategorię Realnego, fetyszyzując rozważania dotyczące fazy lustra). W ten sposób można by napisać taką książkę, jaką przeczytał Waldemar Kuligowski, czyli pozbawioną ducha krytycznego, pasjonującą opowieść o różnych ciekawych sprawach. Poblocki wydaje mi się natomiast – na szczęście – rozdarty pomiędzy deklaratywnym postrukturalizmem a proceduralną krytycznością. Jego książka pełna jest wartościowań i porównań odwołujących się do jakiegoś wspólnego porządku wertykalnego. Moim zdaniem inaczej w ogóle nie da się powiedzieć o współczesnym świecie czegoś, co byłoby nie tylko ciekawe, ale również istotne. Owo napięcie między powierzchnią a głębią świadczy o tym, że powoli wychodzimy z postmodernistycznego odurzenia, chociaż póki co jest to proces, którego nie są świadome nawet uwikłane w niego podmioty. Można mieć nadzieję, że napięcie to wywoła bardziej świadomą debatę na temat ostatecznego kryzysu schematów intelektualnych odziedziczonych po końcówce ubiegłego stulecia.

Wróćmy jednak do *Kapitalizmu* i kapitalizmu. Równie rozczarowująca jak wyjaśnienie wydarzeń z historii Polski jest proponowana przez Poblockiego odpowiedź na pytanie,

dlaczego świat w dziewiętnastym i dwudziestym wieku wyglądał tak, jak wyglądał, i dlaczego głównym rozgrywającym na arenie światowej stały się kraje Zachodu, w tym przede wszystkim USA. Co ciekawe, za to także odpowiadać ma głównie przypadek czy też „lut szczęścia”, jak twierdzi Kacper Poblócki, cytując Kennetha Pomeranza. Istotnie, nie sposób odmówić kategorii przypadku użyteczności, bo metodologia badań statystycznych wykazuje, że nigdy nie można go całkowicie wykluczyć, a fizyka kwantowa udowodniła, że właściwie wszystko może się zdarzyć, nawet jeśli pewne rzeczy są bardzo, ale to bardzo mało prawdopodobne.

Owym przypadkiem, który odmienił bieg dziejów, miałoby być włączenie do równania ekonomicznego paliw kopalnych, a zwłaszcza węgla, którego rozmieszczenie na Ziemi ponoć w jakiś sposób faworyzowało blok atlantycki. Dzięki temu gospodarki Europy i Ameryki mogły skoncentrować przemysł i robić wszystko szybciej oraz wydajniej. To bardzo osobliwe wyjaśnienie. Nie jest prawdą, że w Chinach – jak twierdzi Poblócki – nie było węgla (Poblócki 2017, 489). Tak się składa, że najstarsze odkryte przez archeologów dowody wydobywania i użycia tego surowca pochodzą właśnie z tamtych obszarów; już trzy tysiące lat temu działała kopalnia w Fushun w północno-wschodnich Chinach. To, o jak wielkich zasobach mówimy, pokazuje fakt, że obecnie połowa całego światowego wydobywania węgla ma miejsce w Chinach, gdzie wykopuje się go rocznie tyle, ile w kolejnych pod względem wielkości wydobywania dziesięciu krajach razem wziętych. Jeśli chodzi o inne paliwa kopalne, to ropa naftowa, do której rzeczywiście Zachód miał uprzywilejowany dostęp, zaczęła być istotna po koniec dziewiętnastego wieku: Karl Benz opatentował pierwszy nadający się do masowego i regularnego użycia silnik benzynowy w 1879 roku, a Rudolf Diesel silnik na olej napędowy kilka lat później, zatem gdy było już, mówiąc kolokwialnie, pozamiatane. Gaz zaczął liczyć się jeszcze później.

Przyjmuję wszystkie kaloryczno-energetyczne argumenty przytoczone przez Poblóckiego i nie mam wątpliwości, że bez wykorzystania najpierw węgla, a później innych paliw kopalnych blok atlantycki nie osiągnąłby tak znaczącej przewagi nad innymi częściami świata. Nie odbyło się to jednak w tak prosty sposób, jak sugeruje Poblócki: wrzucamy węgiel do kotłów, „para – buch!, koła – w ruch!”, centralizujemy fabryki, budujemy linie kolejowe i parowce, a za ich pomocą podbijamy świat! Aby doszło do uwolnienia energii węgla na masową skalę i wykorzystania jej w taki sposób, jak miało to miejsce, konieczne były, mówiąc po deleuzjańsku, maszyny oraz przepływy, które owe maszyny mogły modulować. Maszyny w dwóch znaczeniach: po pierwsze mechanizmy, jak na przykład silnik parowy. Jego historia sięga starożytności, w jego rozwoju swój udział miał też świat arabski, a w Europie doskonalono go od połowy siedemnastego wieku, zatem sto lat przed rewolucją przemysłową. Ale nie tylko o silnik parowy chodzi. Nie da się zdominować świata, nie opanowując jego mórz i oceanów, do czego potrzebne były statki oraz inne urządzenia, jak sekstans czy czasomierz – nie tylko precyzyjne, ale także odporne na nieprawidłowości związane z kołysaniem okrętów.

To zadziwiające, że Poblocki przy całym swoim deklarowanym materializmie – który cenę i podzielał – nie zwraca uwagi na tak kluczowy czynnik materialny, jak wysoko rozwinięta w Europie sztuka budowy statków i żeglugi. Na przestrzeni tysiącleci znaczące cywilizacje oraz państwa Europy i basenu Morza Śródziemnego tak z Południa jak Północy – od Egiptu, Fenicji, Grecji i Rzymu, przez Wikingów, Hiszpanię, Portugalię czy Włochów, po Holendrów i Brytyjczyków – były nierozłącznie związane z morzem. Poblocki powiedziałby zapewne: żeglowali również Arabowie. Jasne! I Arabowie byli jedną z cywilizacji, które miały potencjał do zajęcia pozycji globalnego hegemonu, w przeciwieństwie na przykład do naszych tzw. sarmatów, którzy z kresowego matecznika nigdy i nijak nie mogliby władać planetą. Oczywiście, gdyby świat był dzisiaj zorganizowany zgodnie z Pax Arabica, mówilibyśmy, że to dzięki temu, iż Arabowie świetnie żeglowali. I byłaby to prawda. W ogóle nie widzę tu problemu teleologii, któremu dużo miejsca i uwagi poświęca Poblocki. Poszukiwanie w przeszłości przyczyn sprawczych terażniejszości bynajmniej nie jest tym samym, co uznawanie, że coś działo się, bo dążyło do swojego z góry zaplanowanego efektu końcowego – to drugie znaleźć można choćby w opisie ruchu skonstruowanym w *Fizyce* Arystotelesa. Zarzut teleologii skierowany przez Poblockiego w stronę prób wykazania, jakie incydenty i stany z przeszłości doprowadziły do stanu obecnego, ma swoje źródło w fakcie, że zdaje się on utożsamiać przyczyny sprawcze z przyczynami celowymi. To błąd logiczny – zresztą nie jedyny. Inny dotyczy mylenia przygodności z przypadkowością. Wyszorowanie się bloku atlantyckiego na pozycję światowego lidera było przygodne w tym sensie, że nie musiało się wydarzyć (nie było konieczne), ale nie stanowiło rezultatu przypadku w tym sensie, że nie da się pokazać łańcucha powiązanych ze sobą logicznie przyczyn, które wywołały taki konkretnie skutek.

Wśród owych przyczyny, za sprawą których to właśnie blok atlantycki wykorzystał energię paliw kopalnych w określony sposób, znajduje się również jedna niezwykle ważna maszyna społeczno-przestrzenna, a mianowicie istniejący już wcześniej system kolonialnych przepływów obejmujących całą planetę. Co by nie mówić o osiągnięciach i wynalazkach Chińczyków czy Arabów, pierwsze i do tej pory jedyne globalne imperia zbudowane zostały przez państwa europejskie – nie tylko stało się to przed erą paliw kopalnych, ale również więcej niż jeden raz. Posiadłości na wszystkich lub prawie wszystkich kontynentach miały na długo przed dziewiętnastym wiekiem Portugalia, Hiszpania, Holandia, Francja i Wielka Brytania. Piszę o tym bez cienia satysfakcji czy poczucia wyższości. Dokonało się to w sposób skandaliczny z etycznego punktu widzenia i można nawet powiedzieć – w duchu Benjamina – że stanowiło zarazem wielkie osiągnięcie cywilizacyjne i wyraz bezwzględnej barbarzyństwa Europy oraz słabości jej norm etycznych. Ale jednak miało to miejsce i poprzedzało globalny kapitalizm dziewiętnastego wieku.

Kwestię tę trzeba jakoś wytłumaczyć i nie można twierdzić, jak sugeruje Pobłocki, że wszelkie próby wskazywania historycznych przyczyn takiego rozwoju wypadków to teleologia. A gdy próbujemy to wyjaśnić inaczej niż esencjalistycznie, przy pomocy jakiejś etyki pracy czy szczególnej racjonalności, systematycznie wracamy do „odkrycia” Ameryki przez Kolumba, kradzieży złota Inków i Azteków – dzięki którym Europa mogła wreszcie zbilansować swoją wymianę międzynarodową oraz skompensować swoje liczne braki – i dochodzimy wreszcie do konstrukcji trójkąta atlantyckiego, na którym Wielka Brytania zakumulowała kapitał, pozwalający jej w dziewiętnastym wieku, dzięki węglowi i parze, rozbudować swoje imperium, a wraz z nim stworzyć kapitalizm w węższym, ekonomicznym sensie zaproponowanym przez Pobłockiego za Polanym. To powód, dla którego przełom piętnastego i szesnastego wieku jawi się jako nowy początek czy też punkt startowy współczesnego porządku i – w mojej opinii słusznie – zdaje się inicjować to, co nazywamy nowoczesnością. Przekonanie Pobłockiego, że kapitalizm w sensie społecznym istniał od zawsze, a w sensie ekonomicznym zaczął się w dziewiętnastym wieku, pozwala prześlepić owo zasadnicze zerwanie. To przykład obecnego w książce Pobłockiego prymatu konstrukcji teoretycznych nad wyjaśnieniami faktów: z jego definicji kapitalizmu w szerokim i wąskim sensie wynika, że w piętnastym wieku nic szczególnego się nie stało, bo jedno było dużo wcześniej, a drugie pojawiło się znacznie później, więc w ogóle nie ma nad czym rozprawiać.

Nie mam pomysłu na podsumowanie tych nieco chaotycznych rozważań sprowokowanych książką Kacpra Pobłockiego. Napisałem już i tak więcej, niż przewiduje konwencja recenzji czy artykułu polemicznego, a wiele wątków pozostało wciąż nietkniętych (jak na przykład materializm, akumulacja pierwotna i czasowości kapitalizmu – oraz szerzej: rola wymiaru czasowego w jego działaniu – kategoria „miejskości” czy postulaty pozytywnej zmiany). Zarysowanie tak szerokiego i obszernego spektrum problemów do dyskusji jest niewątpliwą zaletą książki Pobłockiego. Mam nadzieję, że taka dyskusja się odbędzie.

Podziękowania: Dziękuję Iwonie Bojadziejewie, Łukaszowi Mollowi i Michałowi Pospiszylowi za lekturę tego artykułu i uwagi, dzięki którym stał się lepszy.

Wykaz literatury

- Amin, Samir. 1970. *Accumulation à l'échelle mondiale*. Paris: Edition Anthropos.
- Banfield, Edward. 1958. *The Moral Basis of a Backward Society*. Glencoe: The Free Press.
- Brenner, Robert. 1977. „The Origins of Capitalist Development: A Critique of Neo-Smithian Marxism”. *New Left Review* I/104 July–August.
- Engels, Fryderyk. 1961. „Położenie klasy robotniczej w Anglii. Na podstawie własnych obserwacji i autentycznych źródeł”. Tłum. Aleksander Długosz. W Karol Marks, Fryderyk Engels. *Dzieła*. T. 2. Warszawa: Książka i Wiedza.
- Graeber, David. 2004. *Fragments of an Anarchist Anthropology*. Chicago: Prickly Paradigm Press.
- Horkheimer, Max. 1983. „Teoria tradycyjna a teoria krytyczna”. Tłum. Jerzy Łoziński. *Colloquia Communia* 2.
- Jameson, Fredric. 1988. „Postmodernizm albo kulturowa logika późnego kapitalizmu”. Tłum. Krzysztof Malita. *Pismo Literacko-Artystyczne* 4.
- Kubiak, Adam. 2015. *Rzeczy mniejsze. Dysformia i fiasko: semi-peryferyjne formy kultury*. Rzeszów: Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego.
- Marks, Karol. 1968. „Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej”. T. 1. Tłum. zbiorowe. W Karol Marks, Fryderyk Engels. *Dzieła*. T. 23. Warszawa: Książka i Wiedza.
- Pobłocki, Kacper. 2017. *Kapitalizm. Historia krótkiego trwania*. Warszawa: Fundacja Bęc Zmiana.
- Polanyi, Karl. 2010. *Wielka transformacja. Polityczne i ekonomiczne źródła naszych czasów*. Tłum. Maria Zawadzka. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Smith, Neil. 2008. *Uneven Development. Nature, Capital, and the Production of Space*. Athens: The University of Georgia Press.
- Sowa, Jan. 2007. *Ciesz się, późny wnuku! Kolonializm, globalizacja i demokracja radykalna*. Kraków: Korporacja Ha!art.
- Sowa, Jan. 2011. *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*. Kraków: Universitas.
- Sowa, Jan. 2016. „Undisciplined Unacademic Zone”. *mezosfera.org* September 30. <http://mezosfera.org/undisciplined-unacademic-zone/>.
- Wacquant, Loïc. 2012. „Trzy kroki w stronę historycznej antropologii faktycznie istniejącego neoliberalizmu”. Tłum. Agnieszka Kowalczyk, Krystian Szadkowski. *Praktyka Teoretyczna* 5.

Jan Sowa - dr hab., pracownik Katedry Antropologii Literatury i Badań Kulturowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, materialistyczno-dialektyczny teoretyk kultury, socjolog, kulturoznawca. Autor i redaktor wielu książek, m.in. *Inna Rzeczpospolita jest możliwa! Widma przeszłości, wizje przyszłości* (2015) oraz *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą* (2011).

DANE ADRESOWE:

Katedra Kultury Współczesnej UJ
ul. Prof. Stanisława Łojasiewicza 4
30-348 Kraków

EMAIL: jan.sowa@uj.edu.pl

CYTOWANIE: Sowa, Jan. 2017. Kapitalizm. Historia krótkiego trwania – Dziewiętnaście *Long Reads* o „Tysiącu lat niewolnictwa” *Praktyka Teoretyczna* 4(26): 362-386.

DOI: 10.14746/prt.2017.4.14

AUTHOR: Jan Sowa

TITLE: Capitalism: A *courte durée* History – Nineteen Long Reads about "One Thousand Years of Slavery."

ABSTRACT: This text is a critical essay devoted to Kacper Pobłocki's book *Capitalism: A courte durée History* and comprises a series of loosely interrelated comments regarding the methodological assumptions, explanatory value, novelty as well as social functioning of Pobłocki's book. Among the problems discussed, three have a dominant character. The methodological problem of explaining the beginnings of capitalism and the social character of the system (the debate between Marxism and the theory of dependence). Second, the relevance of historical counter-examples of non-capitalist social systems. And last but not least, the problem of teleology in historical explanations and its hidden presence in terminology used in the book suggesting a linear development of human history.

KEYWORDS: history of capitalism, Pobłocki, Marx, Polanyi, theory of dependence, theory of history, critical geography